

585585

879

AE 141

CUD NA JASNEJ GÓRZE

W CZĘSTOCHOWIE

SZTUKA SENSACYJNA
w 4 aktach a 5 odsłonach



Napisał

J. S. Zieliński



Copyright MCMXXXV

W. H. Sajewski
1017 MILWAUKEE AVENUE
CHICAGO, ILL.

OSOBY:

Hrabia

Henryk (Syn hrabiego)

Helenka (mała córeczka hrabiego)

Walenty (gajowy)

Zosia (córka gajowego)

Wojtuś (czteroletni synek gajowego)

Franka (służąca u hrabiego)

Ciotka (siostra hrabiego)

Ksiądz

Doktór z Wiednia

Księża, Lud w kaplicy

AKT PIERWSZY: W pałacu hrabiego.

AKT DRUGI, odsłona Pierwsza: W izbie gajowego.

AKT DRUGI, Odsłona Druga: Tak samo jak odsłona pierwsza.

AKT TRZECI: W Kaplicy Jasnogórskiej przed ołtarzem.

AKT CZWARTY: W pałacu hrabiego.

Akt Pierwszy

Rzecz dzieje się w pałacu hrabiego Łąckiego.

Hrabia Łącki (na scenie, chodzi zadowolony): Doskonale mi się wszystko składa. Żydki zapłacili za las podwójnie. Uratuję majątek, nasz herb hrabiowski i jeszcze zostanie dosyć abym mógł zaświecić sąsiadom w oczy, że hrabia Łącki jeszcze ma na czym się panoszyć. A jeszcze gdy syna Henryka ożenię z panną Kamińską, córką obywatela z sąsiedniego majątku, to już dojdę doszczytu szczęścia i marzenia moje będą spokojne. Dziewczyna dostaje w posagu dwieście tysięcy w gotówce, a po śmierci starego całe dobra. Doskonale się składa. Nie napróżno mi moja babka zawsze mówiła, że mi się w czepku urodził. Dwieście tysięcy — a że jej ojciec żaden hrabia ani książę, to co z tego, jak ją mój syn weźmie za żonę, będzie hrabiną — a ze starymi nie potrzebuję się po ślubie za bardzo zadawać — można ich trzymać na dystans — bo inaczej nam nie wypada w naszym rodzie. abyśmy się zadawali z jakimś tam szlachetką, którego ojciec może zrobił majątek na spekulacji z żydami.

Ciotka Amelja (typ starej panny, złośliwej i zarazem przez to komicznej): Oh, jesteś tu, mój bracie. Szukałam cię wszędzie. Czyś ty zauważył, że Henryk od czasu gdy przyjechał na wakacje z Warszawy, jakoś stroni od domu i ciągle trzeba go gdzieś szukać, w końcu ni stąd ni z owąd zjawia się jakby z pod ziemi, przyjeżdża, koń spieniony — gdzie on jeździ?

Ojciec: Cóż się dziwisz, chłopak młody, to mu szumi we łbie, ale jak się ożeni, to się uspokoi przy żonie.

Ciotka: Czy nie sądzisz, bracie, że on jest jeszcze za młody, aby mu zawracać głowę żeniactwem? Przecież dopiero skończył 25 lat.

Ojciec: Najlepsza pora do żeniactwa, co chcesz....

Ciotka: Sam wiesz dobrze, że w naszym rodzie nie żenili się nigdy wcześniej jak po trzydziestce.

Ojciec: Ja wiem, tyś nawet jeszcze do dziś dnia o tem nie pomyślała, tak się zapatrzyłaś na tę tradycję rodową....

Ciotka: Mój bracie, nie potrzebujesz mi wytykać, że jestem trochę starszą jak powinnam być — ale ja tak wyglądam nie ze starości, ale z pracy i z wyteżenia mózgu, którego używam, aby ci dobrze gospodarstwo poprowadzić.

Ojciec: Jestem ci wdzięczny za to bardzo. Ale uważasz siostroniu wracając do żeniactwa Henryka, nie możemy odkładać, skoro się trafia partja, trzeba łapać — tak, tak, kuć żelazo póki gorące. Panna go kocha.

Ciotka: Czy ty znowu myślisz o tej pannie Kamińskiej ze sąsiedztwa?

Ojciec: No, a czy to nie doskonała partja dla mego syna? Pomyśl, dwieście tysięcy gotówką!



AE 940831

K. 157107

Ciotka: Oszalałeś bracie, wpuszczać w nasz ród krew mieszczańską, co na to reszta rodziny powie?

Ojciec: Choćby się nasi przodkowie mieli w grobach do góry nogami poprzewracać, to ja od swojego planu nie odstąpię. Henryk ożeni się z panną Kamińską.

Ciotka: Rób jak chcesz, ale ja za następstwa nie odpowiadam.

Ojciec: Amelciu, powiadam ci, że następstwa będą kapitalne, piramidalne, a potomstwo jeszcze lepsze!

Ciotka: Wstydzilibyś się bracie, do mnie, do panny, mówić o potomstwie? Nie do panny z takimi zwrotami, mój bracie! (Zadarła nosa i wyszła. Helcia stanęła w drzwiach i słucha.)

Ojciec: Ha, ha, ha! a to się niebożatko zaczerwieńiła jak burak! Niewiniątko, nie do niej z takimi zwrotami — ha, ha, ha! Ale koniec końcem uwieńczę dzieło syna wydam, majątek ocalę i będziemy wszyscy zadowoleni; weselisko wyprawię aż w niebie będzie huczało!

Helcia: Tatusiu, a czyje wesele będzie w domu, czyje?

Ojciec: Tyle razy ci już mówiłem żebyś nie podchwytywała niczych myśli, gdy ja się głośno wymawiam do siebie samego.

Helcia: A mój nauczyciel zawsze mi powiada, że "ciekawość to pierwszy stopień do wiedzy."

Ojciec: Od Nowego Roku zmienię ci nauczyciela. To jest dobre dla starszych, ale u dzieci to ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła. Zazwyczaj dzieci podsłuchują takie rzeczy, o których nie powinny wcale wiedzieć.

Helcia: Ja tatusia bardzo przepraszam, ja już nie będę i poprawię się. (Obejmuje go za szyję.)

Ojciec: No, dobrze już, dobrze, skoro obiecujesz, to wierzę, że dotrzymasz słowa jak przystoi na moją jedynaczkę.

Helcia: Przymierzam ale, ale — niech mi tatuncio powie jeszcze ten raz, nie dlatego, żebym była ciekawa, tylko... tylko, że ja chciałabym wiedzieć....

Ojciec: Cóż chcesz wiedzieć? mów prędzej, bo nie mam czasu.

Helcia: chcę wiedzieć, czyje będzie wesele?

Ojciec: Znowu zaczynasz?

Helcia: Tatuńciu, proszę bardzo — ja się poprawię zaraz potem.

Ojciec: Zresztą mogę ci powiedzieć. Henryka naszego, twojego braciszka, będzie wesele.

Helcia: O... to ja się pomyliłam, inaczej myślałam.

Ojciec: A coś ty myślała? Gadaj mi zaraz!

Helcia: Ja myślałam, że nareszcie ta nasza ciotka wyjdzie za mąż.

Ojciec: Co?, Co takiego? Skąd ty masz takie myśli o ciotce?

Helcia: A bo w zeszłym tygodniu słyszałam jak nasz pan rządcą mówił do ciotki w saloniku: "Moja kochana Ameljo," a później ją pocałował trzy razy....

Ojciec (wybuchnął): A ty smarkaczu jeden, ja cię nauczę podglądać! (Helcia ucieka.) Patrzcie państwo, wszędzie się wściubi, ale ta ciotka też by mogła uważać. Ale czy to możliwe, moja siostra.... tu mi zabrania do siebie mówić o potomstwie, a po pokojach zgorszenie mi sieje. Ja się z nią rozmówię! Franka, Franka!

Franka: Słucham pana hrabiego!

Ojciec: Gdzie jest starsza panienska?

Franka: Przed pałacem, gada se ze rządcą.

Ojciec: Co? Znowu z nim? Wołaj mi jej tu zaraz!

Franka: Słucham. (Wybiegła.)

Ojciec: Patrzcie państwo, nic dziwnego, że ten mały szkrab podpatruje i wszystko widzi, a mnie to będzie morały prawić. Dam ja jej!

Ciotka (wbiega zdenerwowana): Co się stało, braciszku? Co takiego? Franka przyleciała jak oparzona.

Ojciec: Co się stało? Jeszcze się nic nie stało. Ale może się stać, jak moja siostrunia nie przestanie cię romansu z panem rządcą.

Ciotka: Co takiego? Ah, to okropne posądzenie! Słabo mi... (siała i wachluje się.)

Ojciec: No patrzcie państwo, jaka komedjantka; czy to też należy do tradycji naszego rodu hrabiowskiego? czy panna przyjdiesz do siebie?

Ciotka: Nie mogę sił zebrać, za bardzo mnie zraniłeś, oh! (chwytając się za serce).

Ojciec: Franka, daj no tu konewkę z wodą.

Ciotka: Bracie! Czyś oszalał? Konewkę z wodą?

Ojciec: Pomogło ci, co? A teraz moja kochana nie udawaj przedemną skromnisi, bo się dowiedziałem, że cię rządcą w pokoju całował.

Ciotka: Bracie, ja nie mogę dłużej słuchać. Jestem dorosłą panią i sama za siebie odpowiadam. (Wyszła.)

Ojciec: No i gadajże z takim półdjabłem z hrabiowskiego rodu.... Ale mniejsza o nią, najważniejsza to sprawa Henryka. Gdzie ten hultaj się zawieruszył, od śniadania nie był w pałacu. Franka!

Franka (wbiega): Słucham pana hrabiego.

Ojciec: Gdzie panicz?

Franka: Panicz siad se na kasztanka, jak zawsze to robi po śniadaniu, i pojechał pod gajówkę.

Ojciec: Pod gajówkę, jakto? Codziennie jeździ pod gajówkę?

Franka: Zawsze w tamtą drogę zmierza, a gdzie kręci, to nie wiem.

Ojciec (pół do siebie, pół do niej): Gdzie kręci, to nie wiesz — aha, możesz odejść. (Ona odchodzi, skłoniwszy się.) Nie wie, gdzie on kręci (myśli). Czyżby on co kręcił? Ale zresztą, przecież to młode, to mu dużo trzeba darować, zresztą zobaczymy. (Tupotanie konia.) Zdaje się, że ktoś wierzchem podjechał; tak, to on; zaraz się dowiemy. Albo zresztą pogo co denerwować, najlepiej będzie jak od razu objawię mu mój plan jego żeniaczki.

Henryk (za sceną): Jasiu, obetrzyj ją trochę i przeprowadzaj, niech ostygnie, nie pozwalaj jej stać w miejscu.

Jasiu (za sceną): Dobrze, proszę jaśnie panicza.

Henryk (wbiega): Dzień dobry ojcu, jakże się spało? Dziś wcześniej wstałem od ojca.

Ojciec: Dobry znak, mój synu, że wcześniej wstajesz, będziesz dobrym gospodarzem.

Henryk: Niech się ojciec nie boi, nie powstydzi się mnie ojciec.

Ojciec: Cieszy mnie, że pewny jesteś siebie; widzę, że się we mnie z charakterem wrodziłeś.

Helcia (wbiega): Braciszku, nie przywoziłeś mi wiewiórki?

Henryk (tuli ją): Nie, ale mówił mi gajowy, że przywiezie ci dwa króliki; on tu niedługo nadjedzie, bo wiezie zboże do młyna.

Helcia: Jak to dobrze, tateczko, będziemy mieli większe gospodarstwo. Dwa króliki... (wybiega). Dziękuję ci, braciszku!

Ojciec: Byłeś pod gajówką?

Henryk: Tak... trochę brzegiem lasu się przejechałem. Słyszałem, że ojciec sprzedął ten las na podgórzu?

Ojciec: Sprzedałem żydkom, bo nam potrzebne pieniądze, synu.

Henryk: Szkoda, za kilka lat byłby potężny las. Tak ślicznie się przyjęły od kilku lat świerki. Lubiałem ten las.

Ojciec: Mamy go jeszcze dosyć. Musiałem sprzedać, bo podatki trzeba niedługo płacić, a najważniejsze to jest to — no, co tu dużo gadać, mój synu. Sprzedałem las dla ciebie.

Henryk: Dla mnie? Nie rozumiem.

Ojciec: Dla ciebie, synu (lekką uśmiechnięty). I jak się dowiesz przyczyny, to jestem pewny, że będziesz zadowolony. (Dumny jest ze swojego planu.)

Henryk: Nie rozumiem cię ojciec wcale; wytłómacz mi jaśniej swoje plany.

Ojciec: No, skończyłeś nauki z odznaczeniem czy nie?

Henryk: No tak, po tobie odziedziczyłem pamięć i talent do nauki.

Ojciec: Tak, wiem; z talentem też wrodziłeś się we mnie, cieszy mnie to bardzo. Ale widzisz synu, muszę ci powiedzieć z bólem serca, że nasz majątek usuwa się ku ruinie — za dwa lub trzy lata możemy zostać bankrutami...

Henryk: Oh, nie martw się ojciec, jak ja się teraz wezmę do gospodarki, to zobaczysz. Ja ci pomogę w gospodarstwie. Znam się przecież dobrze, od dziecka w majątku się kręcę i wiem co, gdzie i jak, może lepiej nawet jak ten twój rządca, który tylko ciągle...

Ojciec: Czekaj, czy o ciotce chcesz mówić

Henryk: Może trochę...

Ojciec: Nie mów, ja już wiem nawet więcej — daj spokój, ciotka utrzymuje tradycję rodową, ale tu nie idzie mi o ciotkę, niech ona sobie robi co jej się podoba; my musimy pogadać ze sobą o tobie. Siadaj synu.

Henryk: Tak poważnie ojciec zaczyna?

Ojciec: Widzisz synu, zanimbyś ty postawił nasz majątek na nogi, to już wszystko będzie stracone. My potrzebujemy najmniej sto tysięcy aby nasze dobra, nasz herb uratować od zguby i zatrącenia.

Henryk: Aż sto tysięcy? Skąd je wziąć?

Ojciec: Właśnie mam plan. Słuchaj synu. Mówiłeś mi, że podobała ci się panna Władzia Kamińska — że gdzieś tam ją w mieście spotkałeś w kościele czy gdzie tam...

Henryk: Owszem, bardzo miła i sympatyczna panienska.

Ojciec: A czy ty wiesz, że ona dostaje w posagu dwieście tysięcy?

Henryk: No tak, ojciec, ale przecież ja...

Ojciec: Nic się nie martw i nie tłómacz. Ja jestem przezorny — czytaj ten list.

Henryk (czyta): "Wielce poważany panie hrabio. Zadziwi się pan hrabia, że piszę do niego tak bez osobistego porozumienia się, ale sądzę, że gdybyśmy tak połączyli nasze dwa sąsiadujące majątki w jeden olbrzymi, to"..." No tak ojciec, ale co to do mnie — zresztą ojciec nie ma przecie pieniędzy, aby od niego kupić.

Ojciec: Jeszcze nie rozumiesz? On chce, abyś się ożenił z jego córką.

Henryk: Co takiego?

Ojciec: Dziewczyna wzdycha za tobą.

Henryk: Ależ skądże ojciec ma te wiadomości? Któż się mógł wkraść do tajemnicy serca panińskiego, jeszcze takiej skromnej panienki jaką jest panna Kamińska? Bardzo ją za to szanuję.

Ojciec: No widzisz, szanujesz ją, a od szacunku do miłości bardzo krótka droga; pokochasz ją, połączycie się i majątki będą połączone. Czy nie wysmienity plan przeprowadziłem?

Henryk: Ojciec ten plan sam przeprowadził?

Ojciec: Daj spokój i bądź cicho. Przeprowadziłem, ale nie osobiście, przy pomocy Goldsztajna, który u mnie las kupował — szelma żyd sprytny; no, ma się rozumieć, że za to sprzedałem mu taniej las, to weszło wiesz, w rachunek...

Henryk: Jakto, więc ojciec moje serce oddałeś żydom na handel, aby niem targowali? I to nawet bez mojego pozwolenia?

Ojciec: Ale widzisz synu, nie sądz tak źle i tragicznie, bo...

Henryk: Nie, ojciec, nie zgadzamy się pod tym względem — ja miałbym się sprzedawać?

Ojciec: Ależ dziewczyna cię kocha.

Henryk: A czy ojciec się mnie zapytał czy ja ją kocham? Czy dam jej szczęście?

Ojciec: Co tam szczęście, jak będziecie mieli tysiące to i szczęście będzie z wami.

Henryk: Ojciec daruję, kocham cię ojciec i szanuję bardzo, ale w tym wypadku nie mogę cię usłuchać.

Ojciec: Jakto, i nic cię nie obchodzi nasza ruina, która nam grozi?

Henryk: Na to można znaleźć inną radę.

Ojciec: Niema innej rady, tylko sto tysięcy. To jest rada, rozumiesz?

Henryk: I ja mam brać od dziewczyny w posagu sto lub dwieście tysięcy i zato jeszcze ją unieszczęśliwić? Nigdy, ojciec! Słyszysz? nigdy to nie nastąpi!

Ojciec (surowo, zmienił się zupełnie): Jakto? Odmawiasz mi?

Henryk: Stanowczo odmawiam i proszę cię, ojciec, zapomnij o tej kombinacji żydowskiej.

Ojciec: Więc majątek ma runąć?

Henryk: Ja go do tego stopnia nie doprowadziłem.

Ojciec: Nie doprowadziłeś? A twoje szkoły nie kosztowały mnie? A twoje wydatki? Co miałem z tobą zrobić, zostawić cię bez wykształcenia? Co miałem z tobą zrobić?

Henryk: Ja nie wiem, szedłem za wolą rodziców.

Ojciec: Więc widzisz. Bo inaczej to co? Miałeś nie być na świecie?

Henryk: Ja się na świat nie prosiłem.

Ojciec: Jakto się nie prosiłeś? (orjentuje się.) No, niby tak, ale skoro jesteś, to musisz być, musisz egzystować i musisz ratować nasz ród i nasze dobra.

Henryk: Ojczy, gdyby się rozchodziło o to tylko, że ja będę nieszczęśliwy przez to, uczyniłbym to, ale żebym miał unieszczęśliwiać pannę Kamińską, na to się nie zgodzę.

Ojciec: Ależ ona będzie szczęśliwą.

Henryk: Kobieta nigdy nie będzie szczęśliwą, jeżeli jej mężczyzna nie odda szczerzej i prawdziwej miłości. Tembardziej panna Kamińska, która pochodzi ze stanu mieszczańskiego; dowiedz się ojczy, że tylko nasze panie, z wyższej sfery, nie dbają o miłość mężczyzn — wystarczy jej aby miał ją za co wysłać zagranicę — ale kobiety ze stanu mieszczańskiego lub nawet z wieśniaczego, one pragną miłości prawdziwej i dlatego można je nazwać naprawdę kobietami, a nie manekinami.

Ojciec (surowy): Więc ty jej nie możesz dać swojej szczerzej i prawdziwej miłości? Nie możesz jej uszczęśliwić dla dwustu tysięcy?

Henryk: Nawet dla dwustu milionów.

Ojciec: Więc teraz widzę, że jest w tem jakiś powód.

Henryk: Może i jest; powinieneś się był ojczy najpierw mnie o to zapytać.

Ojciec: Więc ty się kochasz w innej? (Zaperzony.)

Henryk: Tak, kocham inną i drugiej już nie będę kochał.

Ojciec: A ja ci powiadam, że z tą zerwiesz! (uderza pięścią w stół).

Henryk: Darujesz ojczy, aże mojem sercem nikt nie będzie rozporządzał — sam mnie tego uczyłeś od maleńkiego chłopczyka.

Ojciec: Kto ona jest?

Henryk (młczy):

Ojciec (groźnie): Kto ona jest, pytam?

Henryk: Nie wiem, czym powinien ci powiedzieć, ale lepiej o tem nie mówmy narazie, gdyż jeszcze nie pora ku temu.

Ojciec: Ja chę wiedzieć!

Henryk: Nie, ojczy, nie powiem ci jeszcze kto ona.

Ojciec: Ja ją z pod ziemi wydostanę i zniszczę — słyszysz? Ja ją zniszczę z kretesem! Ona mi staje w drodze do mojego szczęścia i spokoju!

Henryk: A więc tobie ojczy rozchodzi się o twoje szczęście, a nie o szczęście twojego syna? Więc dowiedz się, że ja potrafię dopilnować swojego szczęścia i szczęścia tej, która mnie kocha. Wybacz ojczy, że cię opuszczę. (Chce odejść.)

Ojciec: Stać mi tu i słuchać! (Tupnął.)

Henryk: Zawsze ci ojczy byłem posłuszny, ale przymus nie chodzi w parze z posłuszeństwem. Przepraszam. (Wyszedł.)

Ojciec: Henryku, Henryku! Tutaj, do mnie!

Ciotka: Co tu za hałasy? Co się tu dzieje? Bracie, zastanów się, wyprawiasz takie krzyki, jakbyś nie był hrabią, a jakimś koniarzem.

Ojciec: Daj mi siostrzo do stu diabłów spokój z tem hrabstwem!

Ciotka (dumnie): Ja zawsze nią zostanę, do śmierci.

Ojciec: Zapominasz, że i twoi przodkowie końmi handlowali.

Ciotka: Ciszejże, bo służba usłyszcy. Boże, cóż ciebie tak z równowagi wyprowadziło? Zastanów się!

Ojciec: Daj mi spokój, powiedziałem! Twój kochany siostrzeniec okoniem mi się postawił, gdym mu wspomniał, że chcę go ożenić z panną Kamińską.

Ciotka: Miał rację, nie powinien się poniżać do stanu mieszczańskiego.

Ojciec: I ty mnie jeszcze doprowadzaj do wściekłości, to was wszystkich powyrzucam!

Ciotka: O, mój kochany, nie zapominaj, że na twoim majątku mam swoich pieniędzy przeszło sześćdziesiąt tysięcy. Obiecałeś mi za to dożywocie; jeżeli mnie wurzucisz, zażadam zwrotu tych pieniędzy.

Ojciec: Ja oszaleję! Jeszcze ta mnie straszcy. Zabierzcie sobie wszystko i idźcie gdzie wam się podoba.

Ciotka: Bracie, co się z tobą stało? Uspokój się. Nie poznaję cię wcale.

Ojciec: Tybyś nie lepsza była. Sama wiesz, że nasz majątek leci, trzeba go ratować.

Ciotka: To też poczekaj z pół roku, może sobie Henio znajdzie jaką hrabiankę; masz teraz trochę pieniędzy, wyślij go nad morze, tam ich pełno w kąpielach morskich — i bogate — a on przecież przystojny chłopak, niejedna sobie nim głowę zawróci, a on też gotów.

Ojciec: Nie zwracaj sobie tem głowy, bo on już właśnie gotów. Już się zakochał w jakiejś tam....

Ciotka: W kim? To niemożliwe! On się zakochał? Nie wierzę.

Ojciec: Sam mi to przed chwilą powiedział.

Ciotka: Ale w kim?

Ojciec: Nie chciał mi tego wyjawić. To mnie martwi i doprowadza do pasji.

Ciotka: No, wobec tego.... Ale w kim on się może kochać?

Ojciec: Powiedział mi, że on ją kocha, a ona jego.

Ciotka: Już tak daleko?

Ojciec: Bestja chłopak, pośpieszył się!

Ciotka: Nic dziwnego, w ciebie się wrodził....

Ojciec (wybuchnął): Dasz ty mi spokój? Czekaj, jeszcze raz zapytam go się, kto jest ta dziewczyna? Franka, Franka!

Franka (wbiega): Słucham pana hrabiego.

Ojciec: Poproś tu panicza.

Franka: Proszę pana hrabiego, panicz przed chwilą siadł na gniazdego i pogalopował pod gajówkę.

Ojciec (skoczył): Co? pod gajówkę? (Franka wystraszona uciekła.) Chodź tutaj! (wchodzi drżący.)

Franka (w strachu): Proszę pana hrabiego, ja nic nie wiem, ja tylko raz widziałam, będzie temu cztery tygodnie, jak panicz Zośce, córce naszego gajowego, kupował pierścionek na odpuście. (uciekła.)

Ojciec (w szale): Co, byłoby to możliwe, aby on....

Ciotka: A więc teraz jestem w domu. Teraz rozumiem, co mi mówił pan rządca przed kilku dniami, że młody hrabicz codziennie zagląda na gajówkę — więc to do niej, do tej więdźmy....

Ojciec: A to wstyd, to hańba — wstyd ściągą na cały nasz ród!

Ciotka (biega jak kot z pęcherzem): To byłoby straszne, jabym sama tego nie przeżyła; bracie, ratuj nasz ród!

Ojciec (biega): Idź pani do licha z naszym rodem, ja muszę ratować swój majątek!

Ciotka: I jego ratuj!

Ojciec: Majątek przedewszystkiem, a potem on. Franka, niech Jasiek skoczy do młyna, tam pewno złapie gajowego, niech mi się tu zaraz stawi. Ja się zaraz dowiem wszystkiego.

Ciotka: I co zrobisz, jeżeli tak jest naprawdę?

Ojciec: Już ja będę wiedział, jak ich rozdzielić, jak ich oddalić od siebie. Nie będę przebierał w środkach, zniszczę ich, wypędzę na cztery wiatry! Nie pozwolę, aby mój majątek, to jest aby mój syn... O, to byłoby okropne!

Ciotka: Co za wstyd, co za hańba! I on, jedyny twój syn, do czegoś podobnego się dopuścił?

Franka (wchodzi z bojaźnią): Pro... pro.. proszę pana hrabiego, właśnie gajowy Walenty czekał na dole, bo chciał zdać raport panu hrabiemu.

Hrabia: Każ mu tu przyjść natychmiast na górę, prędzej!

Franka (uciekła).

Ciotka: Bracie, nie unoś się na niego, bo to prostak, jeszczeby cię mógł....

Hrabia: Co? Zastrzelilibym jak psa! Zostaw mnie tu samego, ja się z nim rozmówię. Jeżeli to prawda, to....

Ciotka: To wyrzuć ich z majątku — wyrzuć i zmusz, aby daleko odjechali. Boże, nasz ród w takim niebezpieczeństwie! Pójdę pomodlić się na odmianę. (Wyszła.)

Ojciec: W gruncie rzeczy, on może być niewinien, może nawet o tem nie wiedział, ale skoro był świadomy temu romansowi i patrzył na nich prze palce, to....

Walenty (wchodzi): Kłaniam się pięknie panu hrabiemu; chciałem oddać właśnie raport, z wycinki drzewa....

Hrabia (szarpnął raport z jego ręki i rzucił na stół): Słuchajno!

Walenty: Jestem na rozkazy pana hrabiego.

Ojciec: Czy to prawda, że mój syn zwraca sobie głowę twoją córką?

Walenty (gnie czapkę w rękę i nie wie co mówić).

Ojciec: Pytam, czy to prawda? (skoczył doń).

Walenty: A toć ja nie mogę kłamać, panie hrabio. Dziewucha jakoś przylgnęła do panicza, to ja tam nie wiem....

Ojciec: Przylgnęła?? I ty stary durniu o tem nie wiedziałeś?

Walenty: Toć przecież ślepy, panie hrabio, nie jestem (kłania się). Przecież panicza za drzwi wyrzucić nie mogłem.

Ojciec: I ty mi śmiesz to mówić w oczy, ty psie! (unosz rękę nad nim).

Ciotka (wpada i zatrzymuje go): Bracie, uważaj na swój honor — wstrzymaj się!

Walenty: Toć przecież jak się kochają....

Ciotka (zgorszona): Boże, jak on sobie to mówi lekko: "Jak się kochają."

Ojciec: Spokoju, spokoju — kochają się, to się od dziś dnia przestaną....

Walenty: Ano, jak pan hrabia tak każe....

Ciotka: Wypędź ich, wypędź do miasta!

Walenty: Panie hrabio, tegoby pan przecież przez głupią dziewczuchę nie zrobił; dwadzieścia przeszło roków służę panu hrabiemu.

Ojciec: Milez ty durniu, wynoś mi się! Niech ci rządca wypłaci na dwa miesiące naprzód i wynoś mi się z gajówki, jutro rano, i nie tu w okolicy na wieś którą, ale daleko do miasta, żeby on jej nie widział, a jak tu w okolicy złapie, to utłukę jak psów i ciebie i tę więdźmę twoją córę, która go opętała.

Walenty: Panie hrabio, na miłość Boską błagam pana, nie wyrzucaj mnie z obowiązku, przecież zginęmy w mieście.

Ojciec: To zgińcie jak marne stworzenia, skoro czyhaliście na mój spokój. Precz i ani słowa więcej!

Walenty: Błagam pana (chce go objąć za nogi).

Ojciec: Precz z moich oczu, daję ci czas do jutra rana!

Walenty: Dobrze, wyjedziemy oboje. A zapłaty za dwa miesiące zgóry nie potrzebuje, niech se pan hrabia ostawi dla ratowania swego majątku, którym tak pięknie rządzi pan rządca z pańską siostrą. (Wyszedł.)

Ciotka: Ah, co on powiedział? Co on powiedział! (wygraża pięściami za nim, wreszcie usuwa się na fotel.)

Ojciec: Franka, konewkę z wodą, prędzej!

Franka (wbiega z konewką i leci do ciotki).

KURTYNA.

Akt Drugi

ODSLONA PIERWSZA.

Rzecz dzieje się w chacie Walentego, w gajówce.

Zosia (siedzi zapłakana, obok niej Henryk).

Henryk:—Nic się nie martw Zosieńko, będziesz szczęśliwa ze mną, tak jak ci powiedziałem; nikt mnie od ciebie nie oderwie, nikt nie zamąci mej miłości dla ciebie. Pokochałem cię taką, jaką jesteś i wiernym ci zostanę.

Zosia: Paniczu kochany, jakaż ja jestem szczęśliwa w tem naszym nieszczęściu; ale co my teraz zrobimy? Przecież ja bez panicza żyć nie potrafię. Ja bym sobie nockami oczy wyplakała za paniczem.

Henryk: Nie martw się, moja najdroższa. Nie będziesz potrzebowała nockami płakać, już niedługo, a będziemy razem.

Śpiew I—Henryk i Zosia.

Henryk: Miłość zwycięży wszystkie przeszkody,
Tylko mnie kochaj zawsze i szczerze—
I tamujące złamiemy lody,
Bo w twoją miłość bez granic wierzę.

Zosia: Przysięgam kochać, szczerze, bez granic,
I szczęście w życiu dam ci, mój luby;
Miłości swojej nie zmienię za nic,
Niech nas połączą te święte śluby.

Razem: W szczęściu i zgodzie spędzimy życie,
Złączymy nasze wzajemnie dusze,
Bóg nam pomoże w niebios błękicie, (Bis)
Z serc naszych znikną srogie katusze. (Bis)

Zosia: Choć los tak srogi stawia zapory,
Lecz mego serca nigdy nie zmienię;
Na inne szczęsne wejdzimy tory,
W pośród majowej cudnej zieleni.

Henryk: Gdy mi dodajesz otuchy tyle
I wzmacniasz miłość w mem biednem sercu,
Oh, jakże błogo, oh, jakże mile
Na ślubnym z tobą stanąć kobiercu

Razem: W szczęściu i zgodzie spędzimy życie, i t. d.

Zosia: Paniczu najdroższy! (uścisk).

Wojtuś (za sceną, krzyczy): Zosiu, Zosiu!

Zosia: Oj zaraz, paniczu, bo coś się Wojtusiuwi stało (biegnie do drzwi.) Co ci to, Wojtusiu?

Wojtuś wchodzi: Kazałaś mi gęsi pilnować, a ten carny gąsior to mnie scypie.

Henryk (chwytając go w ręce i podnosi do góry): A ty go nie możesz uszczypać, Wojtusiu?

Wojtuś: Kiedy nie mam dziuba do scypania.

Henryk: Jaki on kochany, ten twój braciszek. Ale już niedługo, Wojtusiu, nie będziesz gęsi pasał, jak będziesz razem ze mną i z Zosią.

Wojtuś: A prędko?

Zosia: O, jesteś za ciekawy, Wojteczku; idźże patrz czy tatulo nie wracają ze dworu od pana hrabiego i daj mi znać jak ich zobaczysz.

Wojtuś: Toć patrzem pod las o mało mi oczy nie wylizają. Tylko ten gąsior mnie goni. (Wychodzi.)

Henryk: Jakiż on roztropny; cieszę się, że będę miał takiego mądrego szwagierka malutkiego.

Zosia: Oj, paniczu, bo ja chyba oszaleję z radości, jak się to wszystko sprawdzi, mój paniczu kochany! (Głaszcze go po twarzy i po głowie.)

Henryk: Prosiłem cię tyle razy, żebyś mi nie mówiła paniczu, tylko po imieniu, Henryku, albo Heniu.

Zosia: Gdzież jabym tam śmiała; później, to tak, kiedy po ślubie, ale nie teraz — dobrze, jeszcze nie mam do panicza takiej śmiałości.

Henryk: Dobrze, Zosieńko, będę czekał cierpliwie.

Zosia: Moje ty śliczności kochane....(uścisk).

Henryk: Jesteś szczęśliwa?

Zosia: Oh, i jak bardzo! (wpatrzona w niego.)

Henryk: I taką zostaniesz nazawsze. Ojciec trochę pogniewa się, a później zgodzi się na mój związek z tobą.

Zosia: A jak będzie przeciwny, jak dzisiaj, co mi panicz opowiadał?

Henryk: Jakoś się sprawa majątku jego wyklaruje, to i wszystko się zmieni. Zresztą nam majątku nie potrzeba. Ja zapracuję na nasze utrzymanie, ale cię nigdy nie opuszczę, Zosinko — będziesz mnie zawsze kochała?

Zosia: Oh, też panicz się pyta? Pewno że zawsze i jeszcze dłużej.

Henryk: I ktoby to miał nas rozdzielić? Nigdy, słyszysz, nigdy!

Wojtuś: Zosiu, tatuś wracają (wyszedł).

Zosia: Możeby lepiej było, żeby panicz pojechał do pałacu?

Henryk: Nie, jeszcze chcę z ojcem twoim pomówić.

Walenty (wchodzi, patrzy na nich — pauza; rzucił czapkę w kąt): Paniczu, lepiej stąd jedźcie czempredzej, bo pana ojciec tu może lada chwila wpaść i będzie piekło.

Henryk: I czegoż się mam bać ojca? On nie wie, że ja tu.

Walenty: Właśnie, że już się dowiedział wszystkiego.

Henryk: Skąd? Od kogo?

Zosia: Mój Boże, co teraz będzie?

Walenty: A no, co będzie, dał nam czas do jutra rana, aby się wynieść do miasta, a jak nas tu zastanie, to zabije nas oboje jak psów — tak powiedział pan hrabia, pański ojciec.

Henryk: Ależ to szaleństwo! Ja na to nie pozwolę ojcu, i ja tu coś znaczą także. Nie martw się Zosiu, bądźcie dobrej myśli, Walenty. Bądź zdrowa (pocałował ją i wybiegł).

Walenty (chwilę patrzy na Zosię): Ty wywołoko, ty! (podchodzi do niej).

Zosia: Tatulu, co z wami?

Walenty: Ty pytasz co ze mną? Tyle razy ci mówiłem, nie spoufalaj go do siebie, bo jak się stary hrabia dowie, to nas wypędzi na cztery wiatry.

Zosia: Ależ tatulu, czy ja temu winna, że go moje serce pokochało, że on mi jest szczerze oddany? On tu nie przychodził, aby mi krzywdę uczynić, przecie dał mi tego dowody — szanował mnie jak świętość jaką, kocha mnie bez granic i co w tem złego?

Walenty: Ale oni tam inaczej nas sądzą, inaczej o tobie myślą — wiedzmą cię nazywają, wywołoką!

Zosia: O Boże, tatulu, nie mówcie tak!

Walenty: A gdzie ja teraz znajdę w mieście zarobek na te ciężkie czasy, z czego się wyżywimy, co? Oh, ty, żebyś się Boga nie bał, to....

Zosia: Tatulu, dajcie spokój, com ja temu winna?

Walenty (wybuchnął): Tyś winna, boś się z nim zadała jak z równym sobie!

Zosia: Tatulu, miłość jedna tylko na świecie, ona nie wybiera stanów....

Walenty: Ale miłość nie da ci żyć — o głodnym pysku pójdziemy w świat przez ciebie, ty... (unosi ręce nad nią)

Zosia (klęka): Tatusiu, nie bijcie! (później rozpacza).

Wojtuś (wpada): Tatulu, co wy robicie, czego ją chcecie bić?

Walenty Odejdź dziecko, idź na dziedziczyć; pilnuj gęsi. może je dziś komu sprzedamy. będzie na drogę.

Wojtuś: Sprzedajcie, tatulu, a kupcie mi konia, dobrze?

Walenty: Dobrze, dobrze synusiu, tylko idź (wypycha go powoli).

Wojtuś (wraca): Tylko Zosi nie bijcie, bo będę płakał (odchodzi).

Walenty: I co teraz damy temu maleńkiemu zjeść? Pozbawiłaś mnie swoim miłowaniem chleba, obowiązku, który tyle lat wiernie spełniałem....

Zosia: Dajcie mi już spokój, bo mi się szal czepia! Dajcie mi spokój! Ciemno mi się w oczach robi (wybiega z izby).

Walenty: Nawarzyła mi kaszy, nawarzyła, teraz wszyscy troje będziemy ją jedli; a bodajżeś przepadła, a bodajżeś pierw oślepta zanim żeś na niego swojemi ślepiami spojrzała! Co ja biedny człowiek poradzę? Oszczędności żadnych nie mam, bo to się robiło za chleb prawie; żeby to człowiek kradł drzewo i sprzedawał, jak inni robią, to możeby co było, ale tu uczciwie i sumiennie spełniałem swój obowiązek, i teraz na stare lata wypędzony jak pies! A bodajżeś, dziewucho!

Hrabia (wchodzi): Gdzie ona? Zawołaj ją; jeżeli mi przysięgnie, że więcej na niego nie spojrzysz, to wam daruję, ale ją wyślecie do miasta na służbę. Zawołaj ją.

Walenty: Zośka, chodź no tutaj, pan hrabia cię potrzebuje.

Zosia (wchodzi): Oh, pan hrabia, witam pana (lekką się kłania).

Hrabia: Zdaleka odemnie... Słuchaj dziewczyno, jeżeli mi przysięgniesz na prochy twojej matki, że zapomnisz o moim synu, to daruję ci i ojciec może zostać dalej w obowiązku, ale ty musisz wyjechać do miasta, tak aby on o tem nie wiedział gdzie ty się znajdujesz.

Zosia: Panie hrabio, czy to ja chcę nieszczęścia dla nas wszystkich? Pokochało go moje biedne serce i przecie tego nie mogę wyrzucić ze siebie....

Hrabia: Jakto, więc odmawiasz? Ty ladacznico!

Zosia: Milcz pan! (Krzykła silnie.)

Hrabia: Coś ty powiedziała? (zamierzył się na nią laską).

Henryk (odtrąca laskę na bok): Niewolno ci się znęcać nad bezbronną kobietą!

Hrabia: Co to ciebie obchodzi? Bronisz tej ladacznicy?

Zosia: Milcz pan, powtarzam! Ja niczyją ladacznicą nie byłam, ani pańskiego syna tak samo kochanicą. Kochałam go czystym sercem i miłość nasza niczem nie była skalana; a teraz, skoro pan wiesz prawdę, to precz z tych progów!

Walenty (skoczył do niej i rzucił ją na ziemię): Szalona, co gadasz?

Hrabia: Ah ty wiedźmo, zawróciłaś głowę memu synowi i jeszcze śmiesz mnie wyrzucać z mojego własnego budynku? Ty! (Chciał ją uderzyć.)

Henryk: Ojcie....

Hrabia: Daj mi spokój! Precz stąd, bo i ciebie przeknę razem z nią!

Zosia (unosi się z ziemi, Henryk jej pomaga—zaniewidziała, szuka rękoma): Paniczu, paniczu! (wybuca płaczem). Paniczu, ja nie widzę panicza.... czemu ja nie widzę panicza? Matko Boska!

Henryk: Boże, co się stało? Zosiu, Zosiu! co ty mówisz? Nie widzisz mnie? Zosiu!

Zosia: Nie widzę... ciemno mam przed oczami. Jezus Marja, paniczu, czy ja cię nigdy już nie zobaczę? (pada mu na piersi z płaczem spazmatycznym).

Walenty (do hrabiego): Precz stąd, ty zabójco mojego dziecka, precz, bo cię te chłopskie ręce rozerwą! (hrabia się cofa, on unosi ręce nad hrabią aż on wyszedł. Walenty ze szlochaniem opiera się o drzwi).

Henryk (trzyma w objęciach Zosię).

Wojtuś (wchodzi z kwiatkami): Zosiu, zerwałem ci tych kwiateczków, które tak lubisz.

Walenty (chwytając go i ścisną): Synu, już ona twoich kwiateczków nigdy nie zobaczy (placze).

KURTUNA.

Akt Drugi

ODSLONA DRUGA.

Scena przedstawia komnatę jak w odslonie pierwszej aktu drugiego.
Na scenie Henryk i Wojtuś (struże patyk).

Henryk (chodzi zdenerwowany, co chwila zagląda do drugiej izby): Ach, ten krótki czas wiekiem mi się wydaje. Żeby jak najprędzej wiedzieć rezultat oględzin lekarskich. Tyle nieszczęścia, tyle Kłopotu. Biedna Zosia, padła ofiarą z winy mojego ojca. Czy ja mu to kiedy przebaczę? Czy on to kiedy zrozumie jak zranił serce swego syna?

Wojtuś: Proszę pana, a czemu Zosia nie chce patrzeć więcej na mnie? Czy już mnie nie lubi?

Henryk: Mój drogi, Zosia chce patrzeć na ciebie, zawsze chce patrzeć, ona cię kocha nad świat, tylko chwilowo jest trochę cierpiąca na **oczy**; właśnie doktor jest u niej, sprowadziłem, widzisz, specjalistę aż z Wiednia dla twojej siostry, aby ją ratować.

Wojtuś: To on jest doktor? A co on tam robi?

Henryk: Egzaminuje oczy twojej siostry Zosi.

Wojtuś: A czy on jej nazad oczy otworzy?

Henryk: Tak, Wojtusi, on użyje wszystkich środków aby jej pomódz i aby Zosia znowu patrzała na ciebie jak przedtem

Wojtuś: A czy on to potrafi?

Henryk: Potrafi, dziecko, potrafi.

Wojtuś: (westchnął): Daj Boże... (dalej struże sobie patyk)

Henryk Czy długo jeszcze tych męczarni? (wchodzi doktor) No, nareszcie... i co doktorze, jak sprawa się przedstawia?

Doktor: Z bólem serca muszę panu zakomunikować, że już nie w naszej mocy, aby jej wzrok przywrócić.

Henryk: Doktorze, to niemożliwe... rób coś, ratuj, ja oddam ci wszystko. Ojciec mi przyrzekł, że zapłaci ile będzie potrzeba, tylko ratujcie ją!

Doktor: Nawet za skarby świata, operacja jest niemożliwą, gdyż wina ciemnoty ukryta jest w głębi oczu, a nie na błonie. Nerwy od mózgu są zabardzo poszarpane silnym wstrząśnieniem, ratunek jest niemożliwy. Ja już tu niepotrzebny, czekam na pana w pałacu. Do widzenia.

Henryk: Jezus Marja! co on powiedział, że moja Zosia już nigdy nie będzie widziała świata Bożego? Oh, ojczec, ojczec, coś ty ucznił!

Wojtuś: A pan mówił, że on potrafi.

Henryk: Wojtusi, i co my teraz zrobimy? Ona nas więcej nie zobaczy; biedna nieszczęśliwa Zosieńka. Czy aby doktor nic jej o tem nie mówił? bo to może dobiłoby ją do reszty. I za co? Za czyje winy? Za jej szczerą i świętą miłość dla mnie, za to, że się kochamy, że dwoje serc pragnie odrobiny szczęścia w tem życiu? Za to ją przekleli, za to ją uczynili nieszczęśliwą na całe życie!

Wojtuś: A pan już jej nie miłuje?

Henryk: Miłuję ją stokroć więcej, nie opuszczę jej teraz nigdy, bo to przecież dla mnie, przezemnie może zabili ją, zamknęli przed nią świat cały i piękno natury.

Wojtuś: Pójdę do niej, bo może ona płacze (wyszedł).

Henryk: Jakiż ja byłem szczęśliwy, kochaliśmy się tak bardzo—czy to aby nie podzielała ujemnie na jej miłość do mnie, czy aby nie ma do całego naszego domu żalu i urazy? Zosiu, żebyś ty wiedziała jak mnie to wszystko boli! (Opada na stół.)

Wojtuś (wprowadza ociemniałą Zosię, która rękoma sobie pomaga szukać drogi—on ją prowadzi do Henryka i sam na palcach wychodzi; ona dotknąwszy Henryka głowy ręką—gładzi ją, on się unosi i chwytą ją w objęcia).

Henryk: Zosiu, najdroższa moja, biedna... i co my teraz pocniemy?

Zosia: Panicz, czy ja wiem? Strasznie mi ciężko tak żyć w ślepcie. Męki straszne, że nie mogę cię widzieć Nie mogę widzieć twojego uśmiechu, twoich ocząt niebieskich...

Henryk: Zosiu, mojego uśmiechu? Mój Boże, znikł on razem z twoją światłością! Dusza okryta czarnym kirem jak dla ciebie świat, a serce boleje i płacze...

Zosia: Mój drogi, widocznie nie było nam sądzone być szczęśliwymi.

Henryk: Nie mów tak, Zosieńko, bo ty musisz być szczęśliwą, przy moim boku. Cały świat przewrócimy, aby ci znaleźć pomoc.

Zosia: Mój kochany, nie łudźmy się nadzieją; słyszałam co tu mówił doktor, każdziutkie słowo słyszałam—już za późno; martwi mnie tylko jedno...

Henryk: Co Zosieńko, co?

Zosia: Że nie będę całe życie z tobą.

Henryk: Jak to mam rozumieć?

Zosia: Bo chyba nie sądzi panicz, że ja się zgodzę na to, aby ci być ciężarem w życiu i niszczyć twój los i spokój, w dodatku teraz, kiedy jestem ślepa i kaleka na całe życie!

Henryk: Zosiu, na miłość Boską, co ty mówisz? Więc ty przypuszczasz, że jabym cię teraz zostawił samą, bez opieki mojej, okradłbym cię z miłości, która tylko tobie się należy? Nigdy, słyszysz, nigdy to nie nastąpi!

Zosia: Paniczu kochany, nie zastanawia się panicz co mówi. Czy nie może w niczem ci pomódz, która nie może ocenić i zrozumieć twojego panicz rozumie co to jest mieć ciągle przy boku beczynną istotę, która spojrzenia, twojego uśmiechu, która nie może dzielić twoich zmartwień, wyczytawszy je z twarzy twojej... Ja tego już uczynić nie jestem zdolna. Byłabym tylko zakałą twojego życia i losu.

Henryk: Zosiu, przestań, ja dłużej tego słuchać nie mogę. Nic nie wiem, nic nie rozumię, wiem tylko, że cię kocham nad świat cały—i wiem, że po części jestem winnym twojemu nieszczęściu.

Zosia (lekkio krzykła) panicz i zakryła mu usta ręką): Nie mów tego, niema w tem ani źdźbła twojej winy—tyś mnie nie zmuszał do miłości, tyś mnie nie bałamuczył podstępnie—pokochałam cię szczerze i czystą miłością i taką samą oddałam mi we wzajemności—paniczu, jesteś wolny i swobodny, nigdybym sobie nie przebaczyła, gdybym ci świat zawiązała swoją osobą, jako twoja żona—na to się nigdy nie zgodzę, choć tak bardzo cię kocham.

Henryk: Jeżeli mnie kochasz naprawdę, to mi dasz szczęście pozwalając otoczyć cię troskliwą opieką na całe życie.

Zosia: Rodzina twoja paniczu wyprze się ciebie.

Henryk:—Gdyby nawet—nie rozchodzi mi się o rodzinę—do ojca mam wielki żal, który niczem nie będzie zagoyony, chyba że cudem odzyskasz swój wzrok i zwrócisz na mnie swoje cudne oczęta jak dawniej.

Zosia (placze): Paniczu, ja cię już nigdy nie zobaczę (tuli się do niego). Mój Boże, a taka byłam szczęśliwa, nawet w tych pierwszych chwilach, kiedyś dowiedziała, że pan hrabia jest nam przeciwny—nie myślałam o następstwach, byłam szczęśliwa, że mnie kochasz—i że ja cię kocham nawzajem. A dziś—wszystko przepadło, piękno uciekło razem z jasnością światła w mym wzroku i ja cię nigdy nie będę mogła widzieć, paniczu. Dlaczego to tak się stało? Dlaczego? (opiera głowę mu na ramieniu).

Henryk: Zosiu droga, uspokój się, zapomnij na chwilę o nieszczęściu, a myśl o tem, jakby tu zaradzić. Ja mam plan, jeszcze nie tracę nadziei. Jak tylko twój ojciec wróci z pałacu od mego ojca i dowiem się co ojciec mówił, to zaraz jadę do Krakowa, tam są największe powagi świata doktorskiego, tam musimy jeszcze szukać ratunku. Zosiu, nie martw się, ja mam nadzieję, że jeszcze Bóg wróci ci wzrok i będziemy szczęśliwi—tylko wierz we mnie, wierz w moje słowa, w moję chęci, nie trać sama nadziei, buduj w sobie silną wiarę—ja wiem, ja czuję, że wszystko będzie dobrze.

Zosia: Paniczu kochany, i poco to pocieszenie mnie, skoro sam panicz dobrze wie, że to napróżno. Już światła Boskiego nigdy nie zobaczę—i ciebie, paniczu.

Henryk: Jeżeli tak będziesz stale mówić i trwać w tym uporze, że już ci nic nie pomoże, że już niema nawet cudu na świecie....

Zosia: Cudu? Chyba cud Boski tylko może być mi ratunkiem.

Henryk: A więc wierzysz, że jeszcze jest coś na świecie, co ci może dać pomoc w nieszczęściu?

Zosia: Zawsze w pomoc Boską wierzyłam.

Henryk: No widzisz—więc musisz także wierzyć, że przy mnie będziesz szczęśliwą.

Zosia: Paniczu, dlaczego chcesz sobie wolność pętać więzami, które skrupują twoje życie na zawsze?

Henryk: Bo tylko ciebie chcę kochać Zosieńko, i nikogo więcej i tylko przy tobie chcę pędzić życie, a tembardziej teraz, gdy potrzebujesz tak troskliwej opieki.

Zosia: Wierzę ci paniczu i za nic w świecie nie wątpiałabym w to, co mówisz. Wierzę w to także, że zraniłabym cię srodze, gdybym twej pomocy nie przyjęła. Wierzę w to wszystko, bo cię kocham (uścisk).

Henryk: Moja najdroższa, nie pożałujesz tego. coś teraz powiedziała.

Wojtuś (wchodzi i wnosi kwiaty): Zosieńko, przyniosłem ci znowu kwiateczków, ale się nie martw, że ich nie widzisz, bo to niekoniecznie trzeba widzieć, żeby odczuć co jest piękne—prawda paniczu?

Henryk: Mój ty kochany Wojtusiu. kochasz ją tak samo jak i ja, i ty taki maleńki, a tak to dobrze wszystko rozumiesz.

Zosia (odbiera kwiatki i całuje je): Mój drogi, kochany braciszku! (ściska go.) Będziesz moim przewodnikiem.

Wojtuś: O, ja myślę, że panicz byłby lepszym przewodnikiem, bo on większy jak ja.

Henryk: Mój ty poczciwy, słyszysz Zosiu, jak on ci radzi?

Wojtuś: Panicz będzie Zosi pilnował, a ja będę gęsi pasał dobrze?

Henryk: Będę ci ją pilnował, będę aż do śmierci.

Wojtuś: Tak, to ja pana będę bardzo za to lubiał (rzuca mu się na szyję.)

(Walenty i Hrabia wchodzą.)

Henryk: Ojczce, ty tutaj?

Zosia (Zerwała się żywo, nerwowa i szuka wyjścia do drugiej izby, Wojtuś podbiega i wyprowadza ją).

Hrabia: Straszny żal czuje do mnie—biedne dziecko; No synu, nie spojrzysz się ku mnie? To już taki wyrok z nieba—inaczej być nie mogło.

Henryk: Ojczce, nie rozmawiajmy w tym domu o tych sprawach, dosyć ją struliście—ona nie może więcej się denerwować i cierpieć jak już cierpi przez was....

Walenty (chyli mu się do kolan): Paniczu, toć przecież ja nie chciałem jej nieszczęścia.

Henryk: Przeklinaliście ją za to, na coście sami patrzeli z przykniętymi oczyma, wy ojciec jej? Gdzie wy macie serce?

Hrabia: Zbyttno się synu przejmujesz tą sprawą—nie jest tak źle jak sądzisz. My jej pomożemy. Obiecałem Walentemu pensję i dożywocie w moich lasach—biedy im nie będzie. Sądzę że i ona będzie się cieszyć....

Henryk: Czem się będzie cieszy? Ojca pensją, rzuconą jemu jako zapłatę za nieszczęście tej biednej dziewczyny? Wy jej za światło Boże, za radość życia chcecie płacić teraz pieniędzmi? Czyż ty ojczce pomyślał, coby się działo z tobą, gdyby cię Bóg dotknął taką samą plagą?

Hrabia (wystraszony): Mówisz jak szalony—nie chcesz o tem mówić, to chodź pojedziemy do pałacu, tam obmówimy całą sprawę.—Doktór też czeka na ciebie. Chodź synu....

Henryk: Jeżeli ojciec będzie chciał mnie oderwać od niej, to uprzedzam, że nikt nie ma tej siły aby to uczynił, żadne majątki ani ojcowie.

Hrabia: Jakto, Henryku, więc tybyś jeszcze teraz chciał....

Henryk: Nie kończ, ojczce, bo jest tak jak chcesz powiedzieć. Ja zostanę przy niej i zabiorę ją za swoją żonę.

Ojciec: Szalony, wyprę się ciebie!

Zosia (staje w tyle z Wojtusiem i słucha).

Walenty: Paniczu, nie róbcie tego—nie rańcie serca ojcowskiego.

Henryk: Ojciec mój nie ma serca dla swego dziecka, on tylko widzi swój majątek i tytuły, więc niech je sobie zatrzyma—ale traci mnie....

Zosia (wyciąga ręce w jego stronę): Paniczu, nie, nie.... nie czyń tego. Idź z ojcem. nie trzeba już więcej pomsty ściągać na nasze biedne głowy—cofnij wszystko coś powiedział i bądź szczęśliwy.

Henryk: Szczęśliwy bez ciebie? Nigdy nim nie będę! ojciec mój ściągnął na ciebie nieszczęście, ja jego syn jedyny, muszę cię teraz ratować, odczepnego nie weźmiesz.

Zosia: Nie, paniczu, tak nie może być. Ty sam nie wiesz, czy zawsze będziesz ze mną szczęśliwy, ja mam przecież kalekę

Henryk: Z winy mojego ojca, a zwykle dzieci cierpią za winy swoich ojców. Tak się też i teraz stanie.

Hrabia: Sławisz mi się hardo i wstyd na moją siwą głowę ściągasz. Dobrze, popróbuj swojego życia, zobaczymy czym się to skończy.

Henryk: Walenty, ja w tej chwili jadę do Krakowa — jeżeli znajdzie tam promyk choćby nadziei dla mojej Zosi, dam wam w tej chwili znać. Ojciec da wam pieniędzy na drogę i wtedy przywieziecie ją do Krakowa. Zosiu, w obecności ojca przysięgam ci być wiernym do śmierci, i nigdy cię nie opuszczę (całuje ją). Bądź zdrowa, za kilka dni otrzymacie ode mnie wiadomość. (Wybiegł.)

Hrabia: Synu! (Wybiegł za nim.)

Walenty: I co my teraz kochane dziecko zrobimy?

Zosia: Nie wiem tatusiu — musimy czekać aż coś panicz sam zadecyduje.

Walenty: Jak go dostaną do pałacu, to go i przerobią na swoje kopyto....

Zosia: Może byłby szczęśliwszy, ja nie chcę go musiem trzymać przy sobie. Dawałam mu wolność, nie chciał.

Walenty: Poczcwiwy, szlachetny panicz....

Wojtuś: Jak jeszcze powiedział mi, że jak będę z nim i z Zosią, to już nie będę pasał gęsi....

Walenty: Oj, pewno dzieciaku, jakbyś był z nimi, ale teraz, kto to wie co się stanie.

Wojtuś: Nie martwcie się tatulu, jakoś to będzie za wolą Boską.

Zosia: Wojtuś, poprowadź mnie do mojej izby (ujmuje go za rękę).

Walenty: Zosiu, przyjdzie tu Michałowa, to przygotuje kolację bo ja jeszcze muszę iść na kilka godzin do lasu, skoro mnie hrabia zostawił w obowiązku. A dziś w lesie zbiórka chrustu, to muszę pilnować, żeby gałęzi nie łamali.

Zosia: Dobrze, tatusiu, idźcie, my sobie tu damy radę z Wojtusiem.

Wojtuś: A kto krowę wydoi?

Walenty: Michałowa wydoi i natrze klusek.

Zosia: Ja ziemniaków ostrugam — podasz mi Wojtuś — zaraz się wezmę do roboty; jak Michałowa przyjdzie, to tylko wstawi na piec i dopilnuje.

Wojtuś (podał jej garczek, nalał wody do dzbanka i postawił na stole): Masz tu ziemniaki, ale jest ich mało, pójdę na pole ugrzebię trochę więcej.

Walenty: A potrafisz to, dzieciaku?

Wojtuś: To się nauczę. (Wyszedł.)

Zosia: Nie kochacie go, tatulu? On taki mądry.

Walenty: Czy go nie kocham? Moje dziecko, a przecież wy dwoje to cały mój świat ostał po śmierci waszej matki. Zamartwiłoby się matczyńsko o ciebie gdyby teraz żyło.

Zosia: Już nie mówcie tatulu o tem, zapomnijcie.

Walenty: Nie mogę ci córko zapomnieć tego nieszczęsnego zaklęcia, jakie rzuciłem na ciebie — nie mogę sobie darować.

Zosia: Nie myślcie o tem tatusiu, ja wam już przebaczyłam i nie gniewam się na was (szuka ojca ręki, on jej podaje, ona całuje go w rękę, ojciec ją tuli serdecznie) Posadźcie mnie przy stole i dajcie mi nożyk do ręki (prowadzi ją i czyni to, ona siada i zaczyna obierać ziemniaki).

Walenty (n. s.) Biedne moje dziecko — chyba u Boga szuka ratunku (ociera łzę). No, to ja pójdę do lasu, będę aż się ściemi ni chyba. Bądź zdrowa Zosiu (całuje ją w głowę i odchodzi do drzwi).

Zosia: Idźcie z Bogiem tatusiu. (On wyszedł, obejrawszy się na nią.) Gdzie też teraz panicz jest, czy on pojechał prosto do Krakowa, czy jeszcze do pałacu? Ale pewno że tak, przecież tam jeszcze ten doktor czeka na niego. Ha, niech się dzieje wola Boża; nie chcę jego nieszczęścia, za bardzo go kocham — skoro jego szczęście jest przy mnie, to czyż ja mogę mu się sprzeciwić? Ja chcę aby on był szczęśliwy po swojemu — za bardzo go kocham.

Wojtuś (wnosi wielki kosz na plecach): Już jestem, nakopałem trochę ziemniaków (wysypuje jej na stół aż cztery ziemniaki).

Zosia: A dużo nakopałeś ziemniaków, Wojtusiu?

Wojtuś: Ano zobacz — oj, poco ja tak powiedziałem?

Zosia: Zapomniałeś, że ja nie mogę widzieć, Wojtusiu.

Wojtuś: Ja wiem, ale zapomniałem się nauczyć liczyć, to byłbym tego nie powiedział. (Odchodzi od stołu, ogląda się na nią, gwiżdże trochę i śpiewa sobie po cichu.) Ta ra ra, Antek na harmonji gra — ta ra ra, on przebierać klawo zna — ta ra ra, baw się bracie póki czas — skoroś dzisiaj na zabawę do nas tutaj włącz.

Zosia: Ha, ha ha, kochany braciszku, jak ja lubię jak ty to śpiewasz. Co jabym zrobiła, gdybym teraz ciebie nie miała w domu — mam do kogo mówić, pomagasz mi, prowadzisz mnie, śpiewasz mi, rozweselasz mnie....

Wojtuś: Chciałabyś żebym ci co inne zaśpiewał?

Zosia: Zaśpiewaj co chcesz, ja tak lubie.

Wojtuś: Kiedym się innego nie nauczył jeszcze.

Zosia: Ha ha ha, no, to poczekam aż się nauczysz.

Wojtuś: Oj, zapomniałem o drzewie do pieca, a Michałowa niedługo przyjdzie (gwiżdże i wychodzi).

Zosia: Poczcwiwy braciszek, wszystko teraz za mnie robi, jaki on kochany. Jakże by się wszystko było inaczej ułożyło, żeby się nie stało to nieszczęście ze mną. Ale kto wie czyby hrabia pozwolił na, jak to mówią, niema tego złego co by na dobre nie wyszło. Może jeszcze jako się inaczej wszystko pokieruje, ale kto będzie kierownikiem tej sprawy, to tylko chyba Ty, Boże jedyny (odkłada ziemniaki i wstaje, idzie na środek izby). W Tobie Boże nadzieję jeszcze pokładam, i jeżeli pragnę mojego wzroku, to tylko dla niego, dla panicza, aby on był szczęśliwy. Boże, Ty mnie wysłuchasz (klęka na środku), Ty i Twoja mateńka kochana. Matko Boska Częstochowska, (Wojtuś wchodzi z drzewem i staje w tyle, przygląda się Zosi.) W tym nieszczęściu, tylko do ciebie się chcę udać Matko Najświętsza (składa ręce do modlitwy i z wiarą mówi):

Pod Twoją Obronę, uciekam się Święta Boża Rodzicielko
Naszemi Prośbami nieracz gardzić, w potrzebach (schyla głowę i po-
cichu modli się dalej).

Wojtuś: (Powoli kładzie dzwo na stołku i idzie do niej pocichutku.)
Jak ty się modliłaś Zosiu?

Zosia: Odmawiałam Pod Twoją Obronę Uciekamy Się.

Wojtuś: A pod czyją obronę się uciekałaś?

Zosia: Pod obronę Matki Boskiej Częstochowskiej.

Wojtuś: A gdzie ona jest?

Zosia: Matka Boska Częstochowska, jest w klasztorze w Częstochowie.

Wojtuś: O, a daleko to tam do niej?

Zosia: O, ze cztery dni drogi, pielgrzymki.

Wojtuś: To czemu tam nie pójdziesz i nie prosisz Matki Boskiej w Częstochowie.

Zosia: (przysła jej myśl.) Tam pójść, Boże, a może by tak zrobić, ale zkim ja pójde, ja ślepa, a tatulo niemoże bo w obowiązku.

Wojtuś: Ale ja widzę i ja cię zaprowadzę.

Zosia: Mój braciszku, jakże ty możesz, takiś maleńki.

Wojtuś: To co, ty się będziesz pytać ludzi którądy ja cię będę prowadził.

Zosia: Wojtusi, tyś mi wrócił wiarę, pójdziemy do Matki Boskiej Częstochowskiej.

Wojtuś: To chodźmy.

Zosia: Tak nie można, musimy się przygotować i jeszcze dziś pójdziemy. Tatuś się nie będzie gniewać, gdy mu ludzie powiedzą.

Wojtuś: Ja już jestem gotowy.

Zosia: Zawiniemy kawałek chleba i sera na drogę.

Wojtuś: Czekaj, ja wiem gdzie to jest (wychodzi).

Zosia: Tak, jaka zbawienna myśl przysła mi do głowy. Pójde, uproszę Matkę Najświętszą o łaskę, ona mi nie odmówi, Boże, Boże, daj mi dojść tam szczęśliwie.

Henryk: Zosi, sama jesteś? Ojciec trwa w swoim uporze, ale mnie nic nie przełamie.

Zosia: Sam Bóg chyba zesłał mi teraz panicza.

Henryk: Co się stało?

Zosia: Paniczu, nasz Wojtuś, chyba przez Boga samego natchnięty, kazał mi iść do Częstochowej do Matki Boskiej, aby ją błagać o wzrok (po pauzie), dla ciebie jedyny.

Henryk: Zosiu, dobrze. Pojedziemy natychmiast, wierzę mocno, i ty wierzysz?

Zosia: Paniczu wierzę, że tam uprosimy o łaskę, żeby mnie tylko dopuścili przed obraz Matki Boskiej.

Henryk: Dopuszczą cię, dopuszczą, a gdzie ten mały Wojtuś, niech go za tą myśl ucałuje.

Zosia: Poszedł zrobić węzełek z pożywieniem na drogę dla nas.

Wojtuś: Już gotowe, O (pokazuje węzełek z chlebem i serem. Podaje Zosi chustkę).

Henryk: Ty pociecho kochana, nigdy ci tego nie zapomnę (całuje go.)

Wojtuś: Idziemy.

Zosia: Prowadź mnie braciszku.

KURTYNA.

Akt Trzeci

Scena przedstawia wnętrze kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej z widokiem na ołtarz. Za podniesieniem kurtyny, patnicy klęczą przed ołtarzem, inni na klęczkach podchodzą do ołtarza, słysząc śpiewy kościelne i organ: Ave Ave Ave Marjo!

Wchodzi ksiądz. Pochylony, klęka przed ołtarzem, pochyla się, chwilę tak zostaje. Wreszcie wstaje i odwraca się w stronę skąd przyszedł, oczekuje; wchodzi Wojtuś, prowadząc za rękę Zosię, ubraną w biel, ze świecą w ręku palącą się.

Ksiądz: Pójdz tu bliżej dziecię moje, skoro z taką wiarą silną trafiłaś bez pomocy prawie. bo tylko ze swoim maleńkim braciszkiem, tu do Przenajświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej. (Mówiąc to klęka i wstaje.) To przybliź się i klęknij, błagając gorąco o pomoc. Jeżeli wierzysz silnie, i dusza twoja czysta i pragnie pomocy, otrzymasz ją... (Staje za nią klęczącą w tyle i błogosławi ją krzyżem świętym, odstępuje trochę na bok i klęka modląc się, unosi ręce w górę ku obrazowi.)

Wojtuś: Zosiu, już jesteśmy u Matki Boskiej Częstochowskiej, teraz ją proś, i ja ci będę pomagał (podnosi rączki w górę).

Zosia: Matko Przenajświętsza, błagam Cię o pomoc, biedna opuszczona i skrzywdzona sierota. Jeżeli zasłużyłam sobie na Twoją pomoc, Matko Przenajświętsza, daj mi światła więcej, abym mogła ujrzeć Twą dobroć bijącą z lica Twego — abym mogła łzami szczęścia i radości dać światu dowód, że niewinnie wtrącono mnie w kalectwo i nieszczęście; daj mi wzrok choć na chwilę jedną, abym mogła widzieć jasność bijącą z Twego lica, która siejesz dobro i zgodę na świecie Bożym. (Unosi ręce w górę. (Pod Twoją obronę uciekamy się. Święta Boża Rodzicielko, naszymi prośbami nie racz gardzić w potrzebach naszych, ale od wszelkich złych przygód racz nas zawsze wybawić. O Pani chwalebna, błogosławiona, O Pani nasza, Orędowniczko nasza. Pośredniczko nasza, Pocięcielko nasza, z Synem Twoim nas pojednaj, Synowi Twojemu nas oddawaj, Synowi Twojemu nas polecaj. (Zosia trzyma ręce w górze.)

Ksiądz (głośno): Módlmy się.

Wszyscy (pierwsze słowo zaczynają głośno i odrazu przechodzą w mruzcando): Łaskę Twoją prosimy Cię, Panie.

Wojtuś (unosi wzrok na obraz): Zosiu, patrzaj — czy ty widzisz, jak Matka Boska uśmiecha się do ciebie? Patrzaj, siostrze — widzisz jak Matka Boska unosi rękę nad tobą — patrzaj....

Zosia (unosi głowę ku obrazowi i aż wstaje na chwilę i znowu klęka; po chwili krzykła): Matko Przenajświętsza! ja Ciebie widzę! Jakaś Ty piękna, Matuchno — ja Ciebie widzę! Widzę wszystkich i ciebie Wojtusi, i ciebie, ojczye wielbny. Boże, Boże, Boże! za wstawieniem się Twojej Matuchny Bożej obdarzyłeś mnie cudem! (klęka). O, dzięki Ci, Matko Przenajświętsza! Jakam ja szczęśliwa! (pada na twarz.)

Ksiądz: Cud, cud wielki! Za przyczyną Matki Boskiej Częstochowskiej, dziewczeczka ta przejrzała; padnijcie na twarzy wszyscy i składajmy dzięki. (Sam Kłeka na środku i pada na twarz przed obrazem, wszyscy też padają na twarz. Śpiew kościelny: Kto się w opiekę...)

Kurtyna powoli spada — Dzwony biją.

Akt Czwarty

(W pałacu hrabiego Łąckiego)

Za podniesieniem kurtyny, hrabia biega po scenie zirytowany, ciotka stara go się uspokoić.

Hrabia: Wypędzę go z domu, wypnę go się, wydziedziczę. Taki wstyd sprowadzić na mój dom!

Ciotka: I na nasz stary ród hrabiowski.

Hrabia: Dałabyś spokój już z tym rodem. Gorsza się rzecz stała. Majątek — rozumiesz, nasz majątek djaski wezmą.

Ciotka: Ale jednak tytuł nam zostanie.

Hrabia: Co ci po tytule, jak nie będziesz miała co do gęby włożyć?

Ciotka: Mój bracie, zapominasz się. Jak ty się do mnie wyrażasz? Gęby — ja nie mam gęby, krowa ma gębę, a nie człowiek.

Hrabia: To na jedno wychodzi (chodzi zdenerwowany).

Ciotka: Możeby go jeszcze gdzie odszukać, przetłómaczyć mu — spokojnie, bez krzyków mieszczańskich — po dobroci, po naszemu.

Hrabia: Gdzie go poszukać? Pan Bóg chyba wie, gdzie on jest. Przepadł bez wieści w ten sam dzień kiedy i ta nikczemnica zginęła; jeszcze na nieszczęście zabrali tego małego chłopca. Powarjowali, czy co? (skoczył do niej zaperzony).

Ciotka: Ależ bracie, ja się ciebie boję, co się z tobą dzieje?

Hrabia: Ona się jeszcze pyta, co się ze mną dzieje? Sprzedałem las dla niego, aby go ożenić z bogatą panną, a ten cymbał uciekł ze ślepą dziewczyną — uciekli tak, że nikt ich nie widział nigdzie.

Ciotka: Co na to nasza rodzina powie? Będą nas omijać.

Hrabia: Co tam z rodziną, furda! Gorsze jest, co na to żydki powiedzą, którzy mają u mnie tysiące — będą mnie nachodzić dzień i noc; oni się spodziewali, że syna ożenię bogato — weksle im pospłacam. O rety! (chwyta się za głowę) i co ja biedny teraz pocznę? Widzę już, jak nasz majątek cały leci w przepaść, w kieszenie żydowskie.

Ciotka: Widzę już jak się ród nasz zmienia, krew połączona z mieszczańską — śliczne będzie potomstwo.

Hrabia: Zapomnij siostró o tym rodzie, a raczej radź co robić.

Ciotka: Mój bracie, co ja ci mogę poradzić, ja sama teraz myślę nad tem, w jaki sposób odebrać od ciebie moje sześćdziesiąt tysięcy, zanim żydzi wszystko zabrają.

Hrabia: I to jest siostra, i to jest krew hrabiowska? Jak ona trzyma moją stronę, jak ratuje mój spokój! Jeszcze mnie chce grabić z sześćdziesięciu tysięcy, a ja centa nie mam przy duszy.

Ciotka: Jak to? Więc aż tak źle jest? Przecież mówiłeś, że żydki dali pieniądze za las i że masz dosyć na ślub Henryka?

Hrabia: Zawracanie; powiem ci prawdę: żydki wzięli las za długi, a obiecali dać kilkanaście tysięcy, jakby już słyszeli na własne uszy, że zapowiedzi wyszły z panną Kamińską.

Ciotka: Żydzi? Słyszeliby na własne uszy zapowiedzi? Przecież oni nie chodzą do naszego kościoła.

Hrabia: Ah, daj spokój, oni wszystko wiedzą. A teraz co? Co zrobimy jak już się dowiedzą?

Ciotka: Ja mam jeszcze dziesięć tysięcy schowane.

Hrabia: Furda dziesięć tysięcy—potrzebuję na same długi 85 tysięcy, a najmniej sto, żeby postawić majątek na nogi.

Ciotka: Ciemno mi się robi przed oczyma.

Hrabia: No, jeszcze ty mi oślepnij, to już bzika dostanę. Franka, konewkę z wodą!

Ciotka: Też sobie upatrzyłeś lekarstwo na moją słabość—zaraz konewkę...

Hrabia: Chcę być pewny, że poczujesz. Gdzie ten hultaj się podział? Ani śladu po nich, ani słuchu—żeby ich chociaż kto widział, ale to jakby przepadli pod ziemię.

Hela (wbiega z paczką listów i gazet): Tatusiu, poczta przyszła.

Hrabia (chwyta): Dawaj no, może jest jaka wiadomość od niego. (Przegląda żywo.) Jest jego pismo, ale nie do mnie. Do ciebie, siostró, nawet pisać do mnie nie chce już.

Ciotka: Ma więcej do mnie zaufania, choć jestem tylko jego ciotka. (Otwiera powoli list.)

Hrabia: Pośpiesz się, na miłość Boską, cóż tak powoli? Czytaj, co pisze?

Ciotka (czyta): "Kochana Ciociu. Śpieszę ci donieść, że dziś opuszczam Kraków, ponieważ doszła nas tu bardzo ważna wiadomość z Częstochowy, wiadomość, która was wszystkich ucieszy niezmiernie; do was gazety dochodzą później o kilka dni, więc będę sam zwiastunem tej wielkiej nowiny. Na razie tylko powiedz ciociu kochana mojemu nieubłaganemu ojcu, że wkrótce go przekonam, że pieniądze są niczem, majątki szczęścia i zdrowia nie dadzą. Kończę, bo mi śpieszno na pociąg. Kochając was" (mówi) to i ciebie się tyczy—"Henryk."

Hrabia: Tyle wiem co i przedtem. Wiemy tylko na razie, że był w Krakowie i pojechał do Częstochowy, ale poco? Warjat skończony i nic więcej.

Ciotka: Pocóżby on pojechał do Częstochowy? Co on tu pisze o gazetach?

Hrabia: No, że oni w Krakowie prędzej wiedzą od nas co się gdzie dzieje w świecie.

Ciotka: Czekajno, przecież właśnie przyszły gazety z kilku dni—szukajno (przewracają oboje gazety, prędko i komicznie.) Taniości... (przewraca). Zabił ją, bo nie chciała być jego żoną...

Hrabia (szuka): Mody najnowsze dla dam (przewraca). Sułtan poślubił 150-tą żonę—Wyciągi konne—który też koń doszedł pierwszy? (czyta mrucząc pod nosem).

Ciotka: Ależ na miłość Boską, szukaj coś z Częstochowy.

Hrabia: O, prawda, z Częstochowy (szuka) Ze świata, z kraju—może tu będzie (szuka dalej).

Franka (wpada szybko na scenę): Panie hrabio, gajowy Walenty leci przez dziedziniec pałacowy jakby go ktoś gonił i wywija papierem w powietrzu—może oszalał!

Ciotka: Powiadasz, zwarzował? Bracie, broń mnie! (Staje za kanapą.)

Hrabia: Nie bądź nierozsądna, cóż on ma do ciebie? Może się co stało i biegnie do mnie z raportem.

Walenty (słychać jego głos za sceną): Panie hrabio! (coraz bliżej) Panie hrabio, panie hrabio! Panie dziedzicu, oszaleję z radości! Czytajcie państwo łaskawie (siadł zmęczony).

Hrabia (czyta): Z Częstochowy, dnia—Cud na Jasnej Górze przed obrazem Matki Boskiej, 18 letnia dziewczyna, niewidoma, która ze swoim maleńkim braciszkiem Wojtusiem przybyła piechotą do klasztoru jasno-górskiego, doznała cudu, bo za wstawieniem się Matki Boskiej Częstochowskiej, odzyskała wzrok, który utraciła przez nerwową chorobę... Jezus Marja—czyżby to była prawda? Walenty! (ściska go).

Walenty: Oj, panie hrabio, i pan taki rad z tego.

Hrabia: Człowieku, czy ty masz pojęcie co to znaczy dla twojego domu? Toć Bóg twój dom szczęściem obdarzył jakiego miliony pragną i nie mogą doczekać.

Ciotka: Zwołam służbę i udamy się do kaplicy, dziękować Matce Najświętszej za tę wielką łaskę (wybiega). Franka, Franka! (Ginie jej głos.)

Hrabia: Jakże Henryk musi być szczęśliwy! Uprosiła jednak u Boga taką wielką łaskę. Widzę w tej sprawie palec Boży—i już na moje przebaczenie, przeciw woli Boskiej niewolno się posuwać.

Walenty: Panie hrabio, jaki z pana szlachetny człowiek—a ja myślałem...

Hrabia: Widzisz chłopcze, nie zawsze człowiek może takim być, jakim chce; życie człowieka gniecie, kłopoty, majątek — przecież ty widzisz sam co się dzieje, jesteś ze mną przeszło dwadzieścia lat.

Walenty: Niech się pan hrabia nie martwi — może i panu będzie lepiej — może się Bóg zlituje.

Hrabia: Błogosławieństwo na twój dom zstąpiło, nie na mój.

Walenty: Panie dziedzicu, toć przecież trochę tej łaski Boskiej i paniczowi się udzieliło, bo on to najwięcej rozpaczał w nieszczęściu Zoścynem....

Hrabia: Tak, masz rację — jego bolało najwięcej. Ja w zaślepieniu i w pogoni za ratowaniem majątku nawet nie widziałem bólu swojego dziecka — dziś dopiero oczy mi się otwierają, żal ściska mą duszę.... (Osłabiony siada na stołku.)

Walenty: Cóż to panu, niechże pan nam nie zachoruje, skoro się mamy szykować do wielkiego święta, do przyjęcia cudem dotkniętej — przecież ona chyba wróci.

Hrabia: Żeby jak najprędzej! Widzę w tem palec Boży i stawać im nie będę w drodze do szczęścia.

Walenty: Oh, dziękuję panu hrabiemu za dobre serce i wyrozumienie (tętent konia).

Hrabia: Ktoś wierzchem zajechał. Leć no, zobacz, może jaka wiadomość.

Walenty: Już lecę. (Wybiega.)

Hrabia: Byłbym zbrodniarzem i świętokradcą gdybym im pomścił teraz, skoro Matka Częstochowska wzięła ją w opiekę; muszę wszystko złożyć u jej nóg i do niej śpieszyć po ratunek.

Walenty (z telegramem): Umyslny posłaniec przypędził z telegramem....

Hrabia (rozrywa): Telegram spóźniony o 12 godzin — na prowincji zawsze tak bywa. "Kochany Ojczy: Przyjeżdżamy w niedzielę około południa. Henryk, Zosia i Wojtuś." (Całuje telegram.) Jakże ich rad przyjmę w dom swój! Leć no, niech szykują się do przyjęcia gości, bo tylko co ich nie widać.

Walenty: Duchem, panie hrabio!

Hrabia: Jakiś ciężar spadł mi z piersi — kłopoty majątkowe nic mnie nie interesują; oni są w mojej myśli, oni szczęśliwi, łaską Boską obdarzeni — ona i mój syn. Czyż mogą się zła spodziewać? Jakże mi lżej na duszy i sercu! (Siada zadowolony.)

Ciotka (wpada): Bracie, co ja się dowiaduję, więc przyjeżdżają? Chwała Ci Boże! Ona, uzdrowiona cudem Bożym, będzie gościć w naszym domu! Co za zaszczyt, co za szczęście!

Hrabia: Ależ siostrzo, przecież to nie nasza krew — gdzie nasz ród?

Ciotka: Jesteś nieznośny — w takiej chwili gadać mi o rodzie! (Wyszła.)

Hrabia (serdecznie i z radością): Ha, ha, ha! Gdyby ona wiedziała jakim ja szczęśliwy!

Franka: Panie hrabio, przyjechali.

Hrabia (ocierając łzę): Dzięki Ci Boże! (Idzie ku drzwiom.)

Henryk (staje w drzwiach): Ojczy, przebacz!

Hrabia: Synu jedyny! (Długi uścisk.) A gdzież... gdzież twoja Zosia? Gdzież ona?

Henryk: Chwileczkę ojczy, ona sama mnie prosiła, abym cię najpierw sam zobaczył. Nie chciała tu wchodzić, aby cię przywitać, bez twego pozwolenia.

Hrabia: Chłopcze, co ty wygadujesz? Z bijącym sercem na nią czekamy! Gdzież ona? (chce iść do drzwi.)

Henryk: Ojczy, pozwól na chwilę. Zanim ją przyjmiesz chcę uspokoić cię zupełnie. Tu jest przekaz bankowy na sumę stu tysięcy dolarów.

Hrabia: Synu, co to znaczy?

Henryk: Później ci opowiem wszystko; na razie tylko tyle, że miałem sen dzień przed cudem — ona mi się śniła, kazała mi grać w ruletę. Poszedłem i wygrałem.

Hrabia: Synu, zabolalo mnie to, że sądzisz jakoby mi się więcej rozchodziło o majątek niż o was dwoje....

Henryk: Dlatego to teraz chciałem załatwić, aby nie psuć temi sprawami tak uroczystej chwili przywitania i przebaczenia.

Hrabia: I zezwolenia synu na wasz związek. Wołaj że ją.

Henryk: Dzięki ci, ojczy. Jakże szczęśliwą ona będzie się czuła! (Wybiegł.)

Hrabia: Tyle szczęścia, tyle szczęścia — jakże wielki jest Bóg na niebie! Po ślubie, dzieci, udam się zaraz w pielgrzymkę do Częstochowy, aby podziękować Matce Najświętszej.

(Głosy za sceną. Wszyscy wchodzą, Henryk i Zosia na przodzie.)

Zosia (stanęła we drzwiach i patrzy na hrabiego): Panie, przebaczenia!

Hrabia (wielce wzruszony): Jaktó, ty mnie dziecko prosisz o przebaczenie? To przecież ja jestem winny twojemu nieszczęściu!

Zosia: Ja nigdy panu nie zlorzeczyłam — nie czułam nienawiści.... (wyciąga rękę do hrabiego.)

Hrabia: Jakże ja mam cię przywitać, jakże dotknąć ja grzeszny twoich rąk, które są błogosławione cudem świętym na Jasnej Górze? Przebacz mi najpierw! (klęka u jej nóg).

Zosia (unosi go): Dawno przebaczyłam — proszę cię tylko panie, daj mi moje szczęście (spogląda na Henryka).

Hrabia: Dzieci kochane, niechże was dalej jak dotąd Pan Bóg błogosławi i Matka Częstochowska (oni klękli). Niechże was uściskam! (Uściski.)

Ciotka: Czy ty wiesz bracie, kto ją prowadził do Częstochowy? Ten maleńki jej braciszek Wojtuś.

Hrabia: Czyż to możliwe? Gdzież on Jest?

Wszyscy (oglądają się.)

Franka (najbliżej drzwi): Bawi się w pana hrabiego pokoju. — Wojtuś, Wojtusi! chodźże tutaj do pana Hrabiego. Idzie, ale cosik se wzion ze szafki.

Wojtuś (wchodzi z wielką fajką): Kto mnie potrzebuje?

Hrabia: No i cóż ja mam z tobą zrobić? (chwytając go i całując). Czemże ja cię za to obdarzę?

Wojtuś: Niech mi pan dadzą tę fajkę.

Hrabia: Wszystko co moje to i twoje, dziecino jedyna moja (ściska go i całując).

Śpiew Mieszany i Chór.

Henryk: Dzięki ci ojczyźnie za szczęścia tyle,
Wdzięczność ma jest nieskończona.

Ciotka: Oh, jakże mile spędzicie chwile,
Już jako mąż i żona.

Hrabia: Oh, Zosiu droga, ileż radości
Przybycie twoje nam daje.

Zosia: To przywitanie wśród wesołości,
Otwiera przedemną raje.

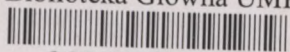
Wszyscy: Więc tu wspólnie dziś zebrani
Nieśmy Bogu dzięki w dani
Za cud Boski, za cud wielki,
Który rozwiął smutek wszelki.
I Paniencie Częstochowskiej,
Uwielbionej Matce Boskiej,
Za te łaski nieśmy dary
Z głębi serca, pełni wiary.

(Powtórzyć od: I Paniencie Częstochowskiej i t. d.)



201

Biblioteka Główna UMK



300043343678

Biblioteka Główna UMK

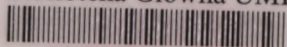


300043343678

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

940831

Biblioteka Główna UMK



300043343678

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

940831

